

choć znoszona z pogodą i spokojem przygodą Izaaka. W planie historycznym wpisuje się w model prześladowań Żydów, o czym mowa *explicite*: od czasów Nabuchodonozora, gnębiiciela Żydów, aż do naszych dni nic się szczególnie nie zmieniło. Wagenstein nie poświęca jednak większej uwagi czy głębszej refleksji antysemityzmowi, stwierdzając jedynie sentencjonalnie: Gdyby Żóg miał u siebie okna, to już dawno by w nich szyby potłuczono.

„Pięcioksiąg Izaaka” mierzy się tym samym z wieloma zarzutami, jakie padały pod adresem literatury o Shoah i niestety nie wychodzi z tej próby zwycięsko. Perspektywa ograniczona tylko do świadomości Izaaka owocuje zadziwiającą wizją nazizmu, która, gdyby Wagenstein potraktował nazizm równie podejrzliwie jako komunizm, zbliżona byłaby zapewne do Littelowskiej (choć bardziej groteskowa). Wybrana konwencja wespół z konstrukcją fabuły prowadzi natomiast do wpisania Zagłady w bieg historii w całkowicie harmonijny i logiczny sposób, tak jakby nie istniały żadne trudności w mówieniu o Holocauście – tak jakby był on zwyczajnym zdarzeniem.

Magdalena Bednarek

Projekt „Świetlicki”

Marcin Świetlicki
Niskie pobudki
Wydawnictwo EMG
Kraków 2009

Nawiązując do anonsu zamieszczonego na okładce nowego tomiku Marcina Świetlickiego, w którym pojawia się ostrzeżenie, że Lektura „Niskich pobudek” będzie [...] zaskoczeniem dla czytelników jego poezji. Czasem będzie to zaskoczenie miłe, a czasem: niemiłe, chciałabym potwierdzić: zastrzeżenie to jest w pełni uzasadnione.

Tom ten rozpada się na dwie części: na wiersze, które zaskakują mile i na te, które zaskakują niemiłe. Na ten podział nałożyć można inny, niepokrywający się z pierwszym: na wiersze pisane z niskich pobudek – doraźne, interwencyjne, zaangażowane, mimo deklaracji niezaangażowania, i te, w których tytułowe niskie pobudki nabierają znaczenia metaforycznego – odsyłają do sytuacji lirycznego bohatera, odnoszą się do przypadków z jego życia. A mówiąc wprost – do tego, że nieraz przydarzały mu się pobudki na podłodze. Pierwszy wymiar odsłania także intertekstualne uwikłanie tych wierszy, +

drugi – pozwala na wycieczki w kierunku wyłaniającego się spoza nich wizerunku lirycznego „ja”. Dopiero po nałożeniu obu tych porządków na siebie uzyskamy obraz w miarę pełny, choć niejednorodny. „Niskie pobudki” to bowiem tom nieoczywisty i pełen sprzeczności.

Najpierw o konstrukcji tej książki. Składają się na nią 44 wiersze, podobnie jak w przypadku tomów wcześniejszych. Jeśli jednak potraktujemy wiersz obramowujący całość jako dwa osobne utwory, to jest ich 45. Ale wolę myśleć, że jest ich czterdzieści i cztery, bo dobrze się ta liczba komponuje z figurą wieszczca, z którym od momentu swojego debiutu („Zimne kraje”, 1992) Świetlicki konsekwentnie rozgrywa prywatne porachunki, dobrze się chyba bawiąc destruowaniem publicznego wizerunku poety pokoleniowego i predestynowanego do wyższych celów.

Mile zaskoczył mnie Świetlicki, który konstruuje poetyckie maski, skrywające – lub nie – niedostępną w żaden sposób „prawdę” o autorze. To, czy skrywają, jest tu kwestią drugorzędą, poezja rozgrywa się bowiem w obrębie wierszy, które łączy jedno – w żaden sposób nie da się ich uznać za spójny i wiarygodny głos poety. I to wcale nie dlatego, że Świetlicki jest nieszczerzy, lecz dlatego, że swój poetycki autoportret konstruuje, właśnie posługując się poetyckimi rekwizytami z taką ostentacją i manierycznością, że trudno nie zauważyć w tej metodzie przemyślnej aktorskiej (błazeńskiej) gry. Historię bohatera(ów), którą przedstawiają „Niskie pobudki”, łączy z człowiekiem, którego nazwisko widnieje na okładce, zaledwie to, że została przez niego napisana. Zgodnie z zapowiedzią z wiersza otwierającego tom, jest to historia o człowieku budzącym się każdego dnia w innym łóżku. Człowieka bez właściwości, człowieka bez tożsamości lub – gdyby chciał posłużyć się jeszcze jedną mocną etykietką, które tak drażnią poetę – bez jasno sformułowanych zasad.

Świetlicki jest z założenia aprogramowy, antyideologiczny, antypatetyczny. Tym, co mnie urzeka w jego poezji, jest właśnie nonszalancja, ironia i autoironia. To, że oscyluje na pograniczu rejestrów, które są nie do uzgodnienia. Z jednej strony, wyłania się z niej obraz dojrzałego, doświadczonego poety, który zna swoją wartość, potrafi pisać i wie, jak to robić, z drugiej zaś – zadziorny chłopak, który nie zamierza dopasowywać się do publicznych wizerunków samego siebie, w nosie ma poetyckie standardy i reguły obowiązujące w podręcznikach historii literatury, do których i tak został już dawno włączony.

Tylko że oba te oblicza naszego antywieszcza doskonale już znamy. A nowy tom cechuje się jeszcze i tym, że jest w równym stopniu zahaczony o literacką, co pozatekstową rzeczywistość, której Świetlicki niezmiennie nie lubi i z którą rozprawia się z lekceważeniem. Teraz jednak w duchu Różewiczowskim uderza w tony lamentu nad współczesnym popkulturowym światem. Zdecydowanie lepiej – przewrotnie twierdzi bohater jednego z wierszy – zrezygnować z niepewnej kondycji artysty i zatrudnić się w dobrze płacącej stacji telewizyjnej niż pisać, otwierając sobie tym gestem Kierkegaardowską przepaść, czyhającą na wrażliwych i widzących więcej. Sparodiowany Różewicz patroluje także kreacji poety wyalienowanego, niezrozumianego przez społeczeństwo. O ile jednak *poeta emeritus* jest tym, kto pisać nie chce, komu zajęcie to przychodzi z najwyższym trudem, kto wycofuje się z uczestnictwa w życiu, dając tym samym wyraz swego sprzeciwu wobec zalewu konsumpcjonizmu i popkultury, to poeta o niskich pobudkach pisze, by ów gest swojej najwyższej pogardy wykreować, podkreślić i przerysować. Dzięki temu nie wiadomo już właściwie, a który z wykonywanych przez niego grymasów jest bardziej, który mniej wiarygodny. Kiedy mówi o przepaści, jest tylko parodystą czy jednak odsłania też tragiczny wymiar egzystencji poety?

A kiedy relacjonuje swoje problemy z pisaniem – czy jest tylko autoironiczny, czy znów poznamy częstkową, bardzo zawoalowaną, ale jednak poruszającą prawdę o jego poezji?

Pobrzmiwają w tym tomie zupełnie niezwykle tony, brzmiące zaskakująco kontrydktoryjnie wobec dominującego tonu złośliwości. Mowa w nich o śmierci, wieczności, jasności i tęsknocie za czymś trwałym i stabilnym, co można by przeciwstawić doraźności i brakowi oparcia. Są one jednak z aktorskim przerysowaniem odsuwane na dalszy plan. Bo wiersze z tego tomu rodzą się z niskich pobudek – takie jest założenie. Dlatego trudno czasem odróżnić ironię od tonu serio, jak w wierszu „Papier”, gdzie pojawia się wzięty w cudzysłów autoironii motyw przymusu pisania, mimo że z niego *jest / kłopot i przepaść*, czy w „Słomianym człowieku”, którego los (czy można dopatrywać się w nim figury współczesnego poety?) – znów ironicznie – rozpięty zostaje między Kierkegaardowską przepaścią egzystencji a Ikarowym lotem ku słońcu: *Trzeba będzie skoczyć / w przepaść, a potem wznieść się z dna przepaści w / słońce i spłonąć. Bo przecież w „Areszcie domowym” czytamy: Wygodnie urządziłem się / w przepaści. Niejasna jest modalność tych pisanych serio wierszy, bo jak właściwie rozumieć taki na pozór metafizyczny, a może jednak tylko ironiczny wiersz pod tytułem „Minimalizm”:*

Tę jedną sekundę błysku,
 może, daj burzę, dla jednej ekskluzji!
 Byłem oerclwy, wytrzymałem wiele
 Upalnych, mętnych godzin.

Jedną czystą sekundę daj.

Czytając inwokację do Boga w otoczeniu innych, błahych wierszy z „Niskich pobudek”, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że jest to jeszcze jedna poetycka maska histriona.

I jeszcze parę uwag o niemiłych zaskoczeniach. Świetlicki zna swoją rangę i wartość swego talentu. Wie, że potrafi pisać, dlatego pozwala sobie na strojenie błazeńskich min i gestów. Poeta taki jak on nic nie musi: pisze to, na co ma ochotę i kiedy ma ochotę, kierując się często bardzo niskimi pobudkami. Te niskie pobudki to przede wszystkim załatwianie za pomocą wierszy spraw doraźnych, prywatnych, w sposób nie tylko ostentacyjny, ale też obliczony na prowokację. Rozdaje więc Świetlicki ciosy na prawo i lewo: dostaje się Wajdzie, miłośnikom Vermeera i Herberta, hermetycznemu Sosnowskiemu i gronu jego interpretatorów, a także tym, którzy zrobili karierę dzięki kolaboracji z popkulturą. Współczesny świat okazuje się wrogi i nieprzyjazny poecie: jest racjonalnie zaplanowany, wyceniony, a jakakolwiek inicjatywa odbywa się zawsze w ramach większego projektu. Poecie, który chce pozostać niezależny politycznie i finansowo, pozostaje postawa outsidera, wyrafinowanego kłozarda, szyderycy lub błazna, chłoszczącego społeczeństwo i twórców kultury za wszystkie narodowe wady i duchowe słabości. Może też zostać parodią romantycznego upiora (co temu poecie zdarza się nie po raz pierwszy); milczącym, za to straszającym niewyrobinym estetycznie lud w sennych koszmarach („Wola ludu”).

Krótko po publikacji „Niskich pobudek” pojawiły się głosy tych, którzy poczuli się przez Świetlickiego wywołani do odpowiedzi. Jednym z nich jest Jarosław Klejnocki – reprezentant linii „klasycystycznej”, który na wiersz „Vermeer”, jawnie ośmieszający odwołania do tradycji jako zbyt łatwego oparcia dla poety (Bo bez Vermeera ani rusz, / jakże raczej można wzrusz- / yć wymagających czytelników? / Trzeba wspierać się, / bo trzeba mieć oparcie), odpowiedział wierszem „Oparcie”, uderzając w estetyczną i życiową postawę Świetlickiego. (Jeden wspiera się Vermeerem, / drugi drinkami wypitymi – / dajmy na to – /

w „Pięknym Psie”. / Zaprawdę, powiada / Pan, każdy ma wsparcie / godne siebie). Mamy tu do czynienia z próbą odnowienia toczącej się na początku lat 90. minionego wieku dyskusji, w której przedmiotem sporu nie była artystyczna wartość poezji, lecz przeświadczenie o tym, czym w ogóle jest poezja, jakie są jej źródła i ujęcia. Nie mam przekonania, czy odgrzewanie starych, nierozstrzygalnych w gruncie rzeczy sporów ma dziś sens. Świetlickiego jednakże odpowiedź Klejnockiego pewnie usatysfakcjonowała, stanowi bowiem dowód na to, że strategia prowokacji przyniosła efekty: ktoś potraktował serio jego wygupy. Ta wymiana ciosów w żadnej mierze nie stanowi jednak przeciwwagi dla doraźności „Niskich pobudek”. W stylu dużo bliższym ironiczno-szyderczemu tonowi Świetlickiego odezwał się Paweł Dunin-Wąsowicz, również bohater jednego z wierszy. Cóż jednak stąd, że okazał się czytelnikiem lepiej dostrojonym do złośliwości Świetlickiego, skoro i on, sprawnie punktując wszystkie „walory publicystyczne” najnowszego tomiku Świetlickiego, nie znalazł uzasadnienia dla takiej postawy poety.

Niestety, „Niskie pobudki” czytane w trybie interwencyjnym chybają celu. Choć niewątpliwie czytelników zaskakują mile i niemile, to jednak nie dlatego, że są nonszalanckie i obrazoburcze – z tego poeta jest wszak znany – lecz dlatego, że są trywialne oraz powtarzają gesty poetyckie doskonale znane czytelnikom wcześniejszych tomów autora „Zimnych krajów”. Ratuje je – choć tak to widzieć – ów korowód masek, precyzyjnie zaprojektowany przez poetę. Ten projekt poetycki sam jednak obraca się w swą parodię, słowo „projekt” jest bowiem jednym z pojęć, które „Niskie pobudki” bezlitośnie wyśmiewają. Projekt bycia parodią projektu staje się metodą twórczą, atak – strategią obronną poety, który nie ma najmniejszej ochoty spełniać oczekiwań kogokolwiek. Tu być może odślania się ta

otchłań poety, który to, co naprawdę ważne, przemilcza. Budując historię o swojej poetyckiej personie, obnażając jej niskie pobudki, chroni przestrzeń własnej prywatności.

Bo niezależnie od tego, jak prezentuje się wizerunek poety w poszczególnych wierszach: jako kłoszarda, anarchista, trzeźwo myślącego racjonalisty, krytyka kultury popularnej i antyklasycysty odrzucającego estetyczne podpórki, antyromantyka i antylewicowca – poeta jest tym, kto pisze, komu pisanie potrzebne jest do bycia sobą, to znaczy poetą. Jest w tych wszystkich antyromantycznych gestach pewien bardzo romantyczny rys: Świetlickiemu najbardziej zależy chyba na tym, by być samotnym, bardzo indywidualnym poetą. Ale nie trzeba sięgać do „Niskich pobudek”, aby o tym wiedzieć.

Elżbieta Winięcka